

„To miasto, o którym mi opowiadali, już nie istniało.
Zostało wywiezione wraz z Żydami”.

Elie Wiesel, *Ostatni powrót*, [w:] *Pieśń umarłych*

Elie Wiesel podróżuje nie do Radomia, lecz do Sighetu Marmaroskiego, „do początków nocy, tam, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie świat utracił niewinność, a Bóg swoją maskę”¹. Lecz jego Sighet – miasto, które „wyrzekło się własnej przeszłości, ale nosi na sobie jej ciężar. Pozbawione poczucia czasu, żyje jedynie w pamięci tych, którzy je opuścili” – bardzo przypomina powojenny Radom.

Wiele jest w Polsce niewidzialnych miast, ale Radom jest miastem szczególnie nasyconym niewidzialnością. Po drugiej wojnie światowej dokonała się w nim całkowita wymiana ludności. Niech przemówią liczby, dane demograficzne: w czasie pierwszej wojny światowej w Radomiu mieszkało ponad dwadzieścia tysięcy osób pochodzenia żydowskiego, stanowiły one niemal połowę populacji. W okresie międzywojennym liczba ludności żydowskiej stale wzrastała (rzecz jasna, wzrastała także liczba ludności polskiej) i na początku lat trzydziestych stanowiła 32,2 procent ogółu mieszkańców – dla porównania w Warszawie było to 30,1 procent, w Wilnie 28,2 procent, a w Krakowie 25,8 procent.

Niech przemówią też świadkowie: „W 1939 roku – wspomina Ben-Zion Gold w książce *Cisza przed burzą. Życie polskich Żydów przed Holokaustem* – trzecią część mieszkańców osiemdziesięciopięciotysięcznego Radomia stanowili Żydzi. Mniej niż dziesięć tysięcy z nich było Żydami ortodoksyjnymi – w większości chasydami, zwolennikami chasydzkich rabinów. Modlili się w sztyblach (chasydzkich miejscach modlitwy), których było około dwudziestu”². Niekoniecznie wszakże będąc chasydami, większość radomskich Żydów była religijna i mocno osadzona w tradycji, na ulicy słyszało się jidysz, dzieci w chederach i jesziwach uczyły się hebrajskiego. Zasymlowanych Żydów było bardzo niewiele. Wprawdzie mieszkali między Polakami i czarne długie chałaty mieszały się z europejskimi strojami, „ale w mieście była też żydowska dzielnica, której sercem była ulica Wałowa. Tu znajdowała się synagoga, bejt ha-midrash (dom nauki), kilka sztybli oraz mykwa – publiczna łaźnia, z której korzystały również kobiety, aby rytualnie oczyścić się po menstruacji”³. „Na Wałowej – wspomina dalej Ben-Zion Gold – czułem się u siebie. Fascynowała mnie żywotność tego miejsca, rozmaitość znajdujących się tu sklepów, zgłęb żydowskiego tłumy”. Tylko w szabas nad Wałową zapadała cisza i unosił się zapach gefilte fisz, rosółu z kury, kompotu i siekanej.

Radomscy Żydzi tworzyli zwartą społeczność, żyjącą swoim własnym, odrębnym od polskiego, życiem – „życiem, za jakim ci, którym udało się wyrwać za ocean, nieraz gorąco tęsknili. Relacje z polskimi miesz-

MONIKA SZNAJDERMAN

Księga Radomia – opowieść o niewidzialnym mieście

kańcami były tylko tłem życia żydowskiej społeczności połączonej silnymi więzami i równie silnymi antagonyzmami, pochłoniętej własnymi marzeniami i sporami”⁴. Te słowa Anny Bikont dotyczą co prawda okresu przedwojennego na Podlasiu, jednak tak właśnie było i w innych miejscach. W powieści Jehoszui Perle *Żydzi dnia powszedniego* (przekład z jidysz Michała Friedmana) żydowski świat Radomia z początków XX wieku jest niemal całkowicie samowystarczalny – tylko podczas letnich wypraw do Leniwy lub, jak u Ben-Ziona Golda, Jedlni, pojawiają się polscy gospodarze. Prawdziwe życie toczy się pomiędzy chederem, synagogą i żydowskimi jatkami, w biednych, wilgotnych suterenach o pomalowanych na niebiesko ścianach, albo w drewnianych domkach z podłogą wysypaną żółtym piaskiem. Do ciotki Miriam można dojść uliczką Szewców lub, dłużej, Spacerową, obok szynku Szynszona Szlomy. Synagoga jest „wąska, skręcona jak obręcz, ciasna i ciemna. Biała synagoga z niebieskimi okrągłymi oknami opiera się o niski beit hamidrash, który wystaje trochę z uliczki. Pozostałe domki stoją oparte jeden o drugi. Widocznie burzliwy wiatr przed laty rozhulał się nad nimi, gdyż wszystkie stoją teraz pochylone i nie mogą się wyprostować”⁵. W gojski dzień świętego Jana odbywają się przeprowadzki – ulice zasłane są wówczas słomą z rozprutych sienników. W święto Purim w mieszkaniu narratora pachnie cynamonem i oliwą. „Do wieczornej uroczystej kolacji mieszkanie zostało dokładnie posprzątane. Zapalono wszystkie światła. Podłoga, którą mama kilka razy wyczyściła, błyszczała czerwienią jak wino w butelce na stole. Lampa i dwa posrebrzane lichtarze objęły mieszkanie ciepłem zamknięcia. Wydawało się, że broda ojca, uczesana, czysta, zajmuje przy stole naczelne miejsce. Gdyby nie zmęczone oczy, które od nieszczęścia z Tojbą oblekły się mgiełką senności, można byłoby odnieść wrażenie, że na ojca nagle spadło wielkie szczęście. A może rzeczywiście tak się stało?”⁶. W tym świecie marzy się o mosiężnych klamkach w drzwiach oraz przestronnych mieszkaniach z czerwoną podłogą i wieloma balkonami, jak w Warszawie. Gojski świat – szpital, więzienie,

klasztor bernardynów, jatki (jedynie nieuznająca koszerne żona nauczyciela Matiasa kupowała w nich mięso) – stanowi tylko niemą scenografię tytułowego „powszedniego” żydowskiego życia z wszystkimi jego codziennymi i świątecznymi radościami i smutkami. Tym bardziej że do nowego parku, pisze Perle, „nie wypuszczają chłopców w długich kapotach”⁷.

Oczywiście i w Radomiu, podobnie jak w całym województwie kieleckim i szerzej: w całej Polsce, panowały antyżydowskie nastroje, regularnie dochodziło do antyżydowskich incydentów o rozmiarach nawet pogromowych, jak choćby zajścia z 6 maja 1931 roku, a także świadomie prowadzona była polityka antysemita (w tym regularna akcja odczytowa radomskiej prawicy), jednak miasto istniało. Dzisiaj go nie ma. Zniknęło, umarło wraz z jedną trzecią mieszkańców. Zaś mojej osobistej, rodzinnej radomskiej historii ostatni cios zadało mało znane i do tej pory nieosądzone morderstwo w nocy z 10 na 11 sierpnia 1945 roku.

Równo 69 lat później, w sierpniu 2014 roku, Zbigniew Wieczorek, nauczyciel języka polskiego i wiedzy o kulturze w liceum im. Jana Kochanowskiego w Radomiu, członek zarządu Radomskiego Towarzystwa Naukowego, pomysłodawca i od 2006 roku realizator inicjatyw upamiętniających radomskich Żydów, publikuje w „Gazecie Wyborczej” list upominający się o pamięć: „W sierpniu minie 72. rocznica likwidacji radomskiego getta. W czasie wojny miasto Radom straciło ok. 30 proc. swojej przedwojennej ludności, głównie pochodzenia żydowskiego. Po wojnie nie doszło do powrotu ocalałych do miasta, bo ci, którzy przybyli, spotkali się z wrogością miejscowej ludności. Synagoga radomska została szybko rozebrana. W przestrzeni miejskiej coraz mniej śladów wskazujących na wielokulturową przeszłość. Nic dziwnego, nie ma komu domagać się upamiętnienia żydowskiego miasta, nie ma żadnej organizacji, żadnej instytucji, która dbałaby o pamięć. (...)”



W samym mieście Radomiu nie uświadczymy ani jednej tablicy pamiątkowej (oprócz tej na dawnym Gimnazjum Przyjaciół Wiedzy przy ul. Kilińskiego) informującej współczesnych użytkowników o dawnych mieszkańcach. Pamięć żydowskiego społeczeństwa Radomia została skutecznie zatarta przez zaniechanie wszelkich działań upamiętniających trwale tamten czas. Tak, Radom dzisiejszy w świadomości potocznej nie ze swoją dowojenną historią, nawet nie z 1976 rokiem się kojarzy, lecz przede wszystkim z rozmaitymi dowcipami w rodzaju tego na ilustracji. Mówi się też żartobliwie, że Radom to nie miasto, lecz stan umysłu. Zaiste, trudno o bardziej bolesny przykład nieistnienia.

A przecież, niezależnie od braku materialnych śladów, w Radomiu wciąż toczy się jakieś fantomowe życie; wciąż żyją swoim fantomowym życiem zmarli. Ich obecność jest nieobecna, a jej znakiem jest nie coś, lecz raczej nic – pustka w miejscu dawnej żydowskiej dzielnicy Radomia, w której hula wiatr. A także dziwny fantomowy ból, który dopada mnie od czasu do czasu, gdy o nich wszystkich myślę. To właśnie świat obok nas, który jest w nas, jak pięknie powiedział Janusz Bohdziewicz. Świat, który rośnie w głąb, draży, wrasta i rani.

Wiosną tego roku chodziłam po mieście, szukając śladów. Żeromskiego 9 – tam przed wojną mieszkał mój stryj Elias Sznajderman wraz z rodziną (jego ojciec to mój stryjeczny dziadek Majer Ajzyk, zarejestrowany, jak donosi Informator Miasta Radomia z roku 1933/34, pod tym właśnie numerem jako krawiec ubrań dziecięcych). W dużej czynszowej kamienicy mieściły się też Biura Prośb „Ekspress” i „Rekurs”, zakład mechaniczny „Maszynotyp”, konfekcja Arona Landaua, Kasa Kredytowa dla Kupców i Rzemieślników sp. z o.o., fryzjer Józef Słupek, sklepy galanteryjne M. Rzelechnieckiej i Arona Goldberga, drukarnia Rekord, manufaktura Abrahama Fuksa, zakład grawerski W. Freja, zakład radiotechniczny Stefan Wałowicz i ska, kosze Henryka Ziolo, sprzedaż i pracownia obuwia firmy Goldberg Spadkobiercy telefon 12-06, sklep obuwniczy Sary Kosoj, skład maszyn Łaji Goldszajn, zakład blacharski Benjamina Hochmana, zakład krawiecki Chaima Kormana, gabinet dentystyczny Stanisława Ogórkowskiego, gabinet felczerski Stanisława Cymermana i Gmina Wyznaniowa Żydowska). Czy z chorymi dziećmi chodzili dwa numery dalej, do starego jednopiętrowego domu przy ulicy Żeromskiego 11, do doktora Henryka Kadysiewicza, którego żona spędzała całe dnie oparta o poduszki na parapecie, obserwując ruchliwe skrzyżowanie Żeromskiego i Traugutta, a przed wejściem bez przerwy przystawały dorożki z chorymi? Pewnie tak, był przecież najlepszym w mieście i bardzo lubianym pediatrą. Traugutta 13 (dawny trakt handlowy z Radomia przez Skaryszew do Sandomierza, niegdyś ulica Długa), dokąd przeniósł się Majer Ajzyk, gdy na przestronnym podwórzu wybudował swój ostatni przedwojenny dom (jego sąsiadem był między innymi malarz Lucjan Wyszyński). Podejrzliwe

spojrzenia zza firanek. Próba zrekonstruowania granic getta. Jakże symboliczna przerwa w numeracji domów i pusty placyk przy ulicy Słowackiego, gdzie dawniej był numer 49 – namacalny ślad nieobecności (przed wojną w okolicy owocarnia Akiermana pod numerem 61, II oddział straży pożarnej pod numerem 73, gabinet internistyczny pod dwudziestką, dentysta Bakowen-Reiss pod dwudziestką dwójką, apteka kolejowa Słowackiego 28, wyroby ceramiczne Lejzora Kewentala pod nr 26, zakłady fotograficzne Apollo i Foto-Buszacka pod dziewiętnastką i dwudziestką trójką, galanteria Geli Grosfeld Słowackiego 63 i S. Horowicza pod numerem 26, garbarnia Korona pod 64, tel. 34-93). Wałowa 31 – w czasie wojny mieszkała tam moja stryjeczna babka Rywka Łaja; pod tym samym numerem mieściły się też galanteria Moszka Furstenberga oraz mydło i farby Goldbroch Ł. Obok, przy Wałowej 30, była piekarnia M. Cytryna – czy moja stryjeczna babka Rywka Łaja chodziła tam na początku wojny po bułki i chałki? Wesola 10... I tylko mały, skromny, drewniany, kryty papą domek przy ulicy Prostej 31, w którym wedle zachowanych dokumentów mieszkali od ślubu w 1877 roku moi pradziadkowie, a który na początku lat czterdziestych wciąż jeszcze dawał schronienie nielicznym ocalałym Sznajdermanom (na pewno Mordce, synowi Majera Ajzyka i Estery Małki z domu Gutman, i na pewno jego ojcu Majerowi Ajzykowi) pozwolił uwierzyć, że to wszystko kiedyś było.

Szwendam się więc bez końca po niedzielnie opustoszałych radomskich ulicach i poza niepozornym domkiem przy ślepym zaułku Prostej widzę tylko, mówiąc słowami Wiesela, pustkę sąsiadującą z „bluźnierstwem odbudowanego miasta”. W obu wypadkach, jak słusznie obawiał się zdążający do miasta swojego dzieciństwa pisarz, jest to „świadełstwo rozpacz i pewnik zła”⁸.

W moich żyłach płynie krew wielu pokoleń radomskich Żydów: Grunbergów, Błatów, Flamenbaumów, Sznajdermanów, Hubermanów. Zamieszkiwali to miasto, odeszli niezauważalnie, i nikt po nich nie płacze. Dlatego muszę pamiętać.

„Ze wszystkich rabinicznych nakazów najtrwalszym i najbardziej wyróżniającym się jest *Zachor!* – pamiętaj!”, pisze w *Pensjonacie pamięci* Tony Judt, podważając wszakże sens obowiązku pamiętania dla samego pamiętania. „Większość Żydów przyswoiła go sobie jednak bez żadnego poczucia, czego właściwie od nich wymaga. Jesteśmy ludźmi, którzy pamiętają o... czymś”. Czego jednak dotyczyć ma nasza pamięć? Na pewno nie ma prowadzić do wzmocnienia „dominujących w diasporze dwóch celów: uzasadniania bezkompromisowej izraelfilii i umacniania łzawego poczucia własnej wartości. Moim zdaniem – pisze Judt – jest to groźne nadużywanie pamięci. Co by było, gdyby Holocaust posłużył nam do tego, by możliwie jak najbardziej zbliżyć się do lepszego zrozumienia tradycji, na którą się powołujemy? Wspominanie stałoby się wtedy częścią szerszego społecznego

obowiązku, dotyczącego nie tylko Żydów. Dość chętnie uznajemy obowiązki, jakie mamy wobec ludzi nam współczesnych, ale co z obowiązkami wobec tych, którzy przyszedli przed nami? Gładko rozprawiamy o tym, co się od nas należy przyszłości – ale co z naszym długiem wobec przeszłości? Wyjawszy prymitywnie praktyczne sposoby – zachowywanie instytucji czy systemów – możemy ten dług w pełni obsłużyć w jeden tylko sposób: pamiętając i przekazując dalej obowiązek pamiętania”.

Dlatego właśnie to robię: z wygrzebanych fragmentów historii buduję opowieść. Drażę i mnożę, ściubię, nizam i wyłapuję – z nielicznych dokumentów i jeszcze mniej licznych słów mojego ojca, ocalałego z Holocaustu. Ten tekst powstał z jego milczenia. Mój ojciec należy do tych, którzy milczą. Jak wiadomo, ocalali dzielą się na dwie kategorie: jedni mówią o tym bez przerwy, drudzy dla odmiany przez cały czas milczą. To milczenie jest ogromne, przepastne i można się w nim utopić. Dlatego zaczęłam pamiętać. Naprzeciw temu milczeniu, naprzeciw zapomnieniu, naprzeciw nicości, która chciałaby to wszystko pochłonać. Bo pamięć właśnie jest jedynym bytem, który otwiera w nas przestrzeń na świat obok, dopuszcza świat obok do istnienia.

„Hebrajska Biblia – wtóruje Judtowi Yosef Hayim Yerushalmi w fundamentalnej książce *Zachor. Żydowska pamięć i żydowska historia* – wydaje się nie wahać w nakazywaniu pamięci. Jej nakazy pamiętania są bezwarunkowe, a upamiętnianie, nawet jeśli nie jest nakazane, zawsze odgrywa decydującą rolę”⁹. Czasownik *zachar* występuje w Biblii ponad sto sześćdziesiąt razy. „Dopełnieniem znaczenia tego czasownika jest jego przeciwieństwo – zapomnienie”¹⁰.

„To, co nazywamy zapomnieniem – pisze w innym miejscu Yerushalmi – pojawia się wówczas, gdy grupa ludzi zaniedba (...) przekazanie następnym pokoleniom tego, co sama wie o przeszłości”¹¹. Im więcej pamięci, ciągnie Yerushalmi, tym lepiej dla walki z zapomnieniem. „Pozwólmy nadal mnożyć się nagromadzonym faktom dotyczącym przeszłości. Niech wzbiera strumień książek i monografii, nawet jeśli miałyby one być czytane przez specjalistów. Niech nieprzeczytane egzemplarze zalegają półki wielu bibliotek, aby w wypadku ich zniszczenia czy usunięcia przetrwały pozostałe. Aby ci, którzy tego chcą, mogli się dowiedzieć, że ta konkretna osoba żyła naprawdę, że określone wydarzenia naprawdę miały miejsce, że ta oto interpretacja nie jest jedyna”¹².

Nigdy więc dosyć pamięci – niech stanie ona na drodze, przywołując po raz ostatni piękne słowa Yerushalmiego, „agentom zapomnienia, niszczytelkom dokumentów, mordercom pamięci, poprawiaczom encyklopedii, konspiratorom milczenia, przeciwko tym, którzy jak w pięknym epizodzie Kundery, mogą aerografem usunąć człowieka z fotografii tak, że zostaje z niego tylko kapelus”¹³.

Nie wiem, kiedy moi przodkowie zamieszkali w Radomiu. Mogę jedynie podejrzewać, że byli tam już w 1833 roku, dwa lata po tym, gdy otwarto pierwszy żydowski

cmentarz (do tej pory Żydzi radomscy chowali swoich zmarłych na cmentarzu w Przytyku, zezwolenie na otwarcie własnego cmentarza uzyskali w wyniku epidemii cholery w 1831 roku). A więc dwa lata po otwarciu pierwszego radomskiego kirkutu urodził się mój prapradziad Chaim Jankiel Sznajderman, syn Izraela Dawida Sznajdermana, a dziewiętnastego października 1838 roku moja praprababka Estera Błat, córka Eliego Błata (syna Moszka Błata i Sewy Błat) oraz Sury Błat, z domu Huberman, córki z kolei Icka Hubermana i Chai Huberman z domu Sadkowskiej). Jeśli tak było, jeśli rzeczywiście urodzili się oni w Radomiu, to stanowili częśćkę maleńkiej, ledwie tysiącpięćsetosobowej żydowskiej wspólnoty, stanowiącej wszakże wówczas aż 28 procent ogółu ludności.

Co do praprapradziadków Izraela Dawida Sznajdermana i Fajgi Sznajderman oraz Eliego Błata i Sury Błat z domu Huberman, a tym bardziej co do moich prapraprapradziadków: Icka Hubermana oraz praprapraprababki Chai Huberman z domu Sadkowskiej oraz Moszka Błata i Szewy Błat z domu Grunberg pewnoś mieć nie mogę – bo choć Żydzi po raz pierwszy osiedlili się w Radomiu już w drugiej połowie XVI wieku (inventarz miejski z 1567 roku informuje o opustoszałych placach przy ulicy Żydowskiej), to w 1724 roku król August II nadał miastu przywilej *de non tolerandis Judaeis*, zakazujący Żydom mieszkania i handlowania w obrębie miasta. Co prawda kilkanaście, a może kilkadziesiąt osób postanowiło pozostać w nim nielegalnie, ale i ich wygnały kolejne dekrety i wyroki. Dopiero pod koniec XVIII wieku radomski starosta Aleksander Potkański zezwolił Żydom na powrót i osiedlenie się na podwalu i terenie po zniszczonym zamku królewskim. Juredyka Aleksandra Potkańskiego dała początek późniejszej dzielnicy żydowskiej, której jądrem była gwarana ulica Wałowa. W 1820 roku Radom zamieszkiwało już pięćset pięciu Żydów, pod koniec wieku XIX było ich około jedenastu tysięcy i liczba ta sukcesywnie rosła. W pierwszej połowie XIX wieku Żydzi mogli się już osiedlać poza granicami dzielnicy żydowskiej, choć dostęp do śródmieścia zarezerwowano wyłącznie dla najbogatszych.

Być może więc właśnie wówczas, pod koniec XVIII wieku, gdy na wniosek Aleksandra Potkańskiego Żydom zezwolono na powrót do miasta, a może jeszcze później, moi przodkowie, Hubermanowie, Błatowie, Flamenbaumowie, Sznajdermanowie, Grunbergowie, Sadkowsy i inni przybyli z otaczających ówczesny Radom wsi i posesiolków, z Wolanowa lub Przytyku, gdzie znajdowały się kahały żydowskie, może z Białobrzegów, Wierzbicy lub Skaryszewa, a może tylko z przedmieść Radomia, by zasiedlić Traugutta, Wałową, Słowackiego, Wesołą, Prostą i Lubelską, która wówczas nie nazywała się jeszcze Lubelską, tylko zwyczajnie: traktem lubelskim i do około 1815 roku nie znajdowała się na terenie miasta (w 1924 roku Lubelską przemianowano na Żeromskiego) – ulice, po których chodziłam w maju tego roku, i które dekretem z 29 marca 1941 roku, ogłoszonym przez gubernatora Radomia doktora Karla Lascha

pięć dni później, 3 kwietnia, weszły częściowo w obręb „dużego getta” (jedną z granic wyznaczała ul. Wałowa) i „małego getta” na przedmieściu Glinice (z ulicą Prostą, gdzie stał dom moich pradiadków). Moim przodkom pod karą grzywny do tysiąca złotych lub aresztu do trzech miesięcy zakazano chodzenia między innymi po ulicach Rwańskiej, Maczewskiego, Reja i Żeromskiego, przemianowanej na Reichstrasse. W Radomiu mieszkało wówczas około trzydziestu pięciu tysięcy Żydów.

7 kwietnia 1941 roku oba getta zostały zamknięte, a od sierpnia 1942 roku rozpoczęły się działania likwidacyjne zakończone w styczniu 1944 roku. Większość radomskich Żydów trafiła do obozów zagłady w Treblince i w Auschwitz.

Zastanawiam się, jak wyglądało miasto moich przodków. Mogę przypuszczać, że gdy przybyli oni do Radomia pod koniec XVIII lub na początku XIX wieku, miasto ongiś, jak czytamy w wydany w 1847 roku przez Tymoteusza Lipińskiego *Opisie powiatu radomskiego przez ks. Franciszka Siarczyńskiego w rękopisie pozostałym*, „dobrze zabudowane i ludne: tu się odbywały walne sejmy r. 1473 (?), 1505 i 1513 (?); tu przemieszkwały Barbara i Katarzyna żony Zyg. Augusta, Elżbieta królowa i Kazimierz IV; tu 1469 r. przyjęci byli posłowie czescy z nominacją Władysława na królestwo czeskie”¹⁴. Otóż to miasto znajdowało się w stanie upadku – szczególnie stare miasto straciło wszelkie podobieństwo do miasta. Wśród znaczących przyczyn autor książki wymienia liczne pożary, najazdy tatarskie i szwedzkie oraz to, że „mieszkańcy odstąpiwszy pierwiastkowego miastu zamiar t.j. handlu, do roli się rzucili”¹⁵. Na początku XIX wieku Radom ma „liczy ratusz”, ledwie kilka murowanych budynków, zaniedbane szkoły i puste kościoły, a „handel prowadzi miasto bardzo szczupły”¹⁶. Wzniesione jeszcze przez Kazimierza Wielkiego fosy, mury i baszty skruszały i zwietrzały.

Niewiele lepiej, mimo planu regulacyjnego w 1822 roku, było w połowie XIX wieku. W tym czasie bowiem, donosi *Nowy Informator oraz Skorowidz czyli spis nieruchomości miasta Radomia na rok 1902 (rozdział Niektóre wiadomości dotyczące miasta Radomia oraz niektóre cyfry porównawcze i statystyczne)*, od strony dawnego traktu lubelskiego, który od 1815 roku stał się włączoną do miasta ulicą Lubelską, nadal „rozciągały się obszerne pola orne, i ogrody, zasłonięte walącymi się parkanami”¹⁷. Jeszcze na początku XX wieku w Radomiu przeważają, wedle bezcennego literackiego świadectwa Jehoszui Perlego, małe drewniane domki „objęte z czterech stron świata wiatrem i niebem”, z sadami pełnymi jabłek, gruszek, czereśni i porzeczek i przestronnymi błotnistymi podwórzami, które wiosną rozjeżdżał omnibus bałagły Jarmego. „Kuszający jabłoniowy sad”, należący do Avruma Kaisera, szefa radomskiego półświatka, wspomina także Ben-Zion Gold¹⁸. Bernard Gotfryd zachował w pamięci rzędy drewnianych szop na obszernych dziedzińcach, rozebrane w czasie wojny na opał, i trawniki pełne polnych kwiatów, na których łapał motyle¹⁹. W opowia-

daniu Antoni Golebiarz z tomu pod tym samym tytułem przywołuje sad pana Rytmiana: „W połowie lata zwisające gałęzie ugięły się pod ciężarem dojrzałych, żółtych gruszek; zawsze chciwie napełniałem nimi kieszenie”²⁰. Edward Kossoy wspomina wybrukowane kocimi łbami radomskie ulice, nigdy nie oświetlane wieczorami²¹ i sąsiadujące z ośmioklasową Szkołą Handlową duże, niezabudowane połacie łąk (tzw. łąki Ciemnińskiego) przy ul. Długiej, zamienionej następnie na Traugutta: „Kiedykolwiek pozwalała na to pogoda, Guzek prowadził nas w przyrodę. Najczęściej były to położone tuż za budynkiem naszej szkoły łąki Ciemnińskiego. Tam, nie przeszkadzając kilku krowom na wypasie, poznawaliśmy się z dzikim szczawiem jadalnym i niejadalnym (końskim), jaskrami, kaczeńcami i inną «florą łąk podmokłych»”²².

W takim więc mieście, noszącym ślady dawnej świetności, okolonym niegdyś warownymi murami z czterema basztami, teraz jednak zniszczonym, podupadłym, na pół miejskim, na pół wiejskim, żyli moi przodkowie. Mój prapradziad Chaim Jankiel Sznajderman i moja młodsza o pięć lat praprababka Estera Blat będą mieli troje dzieci: Ajzyka (urodzonego w 1861 roku; ożeni się z Chaną Esterą Konskier i urodzi im się syn Izrael Dawid, a następnie Herszek, Szmur i Sura Szindla), Abrama Judkę (urodzonego w 1868 roku, ożenionego z Szajndlą Birenbaum, urodzoną dwudziestego szóstego lutego 1867 roku, ojca między innymi Izraela Moszka, Icka, Ruchli Łai) i mojego pradziadka Izraela Moszka Sznajdermana, urodzonego równo sto lat przed moimi narodzinami, w 1859 roku. W tymże samym 1859 roku rodzi się moja prababka Fajga Flamenbaum. Jest córką Mordki Motka i Sury Ity Flamenbaum, z domu Werber (Sura Ita umrze w 1874 roku, gdy Fajga będzie miała ledwie piętnaście lat). Ma brata Fraima Lejzora, urodzonego dwudziestego drugiego maja 1869 roku. Gdy rodzą się moi pradiadkowie, Radom od osiemnastu lat ma już swoją synagogę. Wybudowano ją na rogu Bożniczej i Podwalnej w 1844 roku, spalono w czasie okupacji, a ostatecznie rozebrano w 1945 roku. Radomska gmina zabiegała o bożnicę od lat trzydziestych XIX wieku; jeden z przywódców gminy Nataniel Beckerman wyruszy w końcu w podróż do Frankfurtu i u potężnej rodziny Rotschildów błagać będzie o wstawiennictwo u cara Rosji, by wydał zgodę na budowę. Baron Anshel Rotschild nie tylko zgodę wyjednał, ale również przekonał bogatą żydowską wspólnotę we Frankfurcie, by wsparła radomską inicjatywę okazałym datkiem. Równy sto lat później, w 1936 roku, gmina radomska otrzyma od gminy frankfurckiej pilne wezwanie do zwrotu 3600 marek...

Ale to wszystko dopiero za sto i więcej lat.

Na razie w 1877 roku krawiec Izrael Moszek Sznajderman i Fajga Flamenbaum staną w bożnicy pod baldachimem i wezmą ślub. Będą mieli siedmioro dzieci:

- Abrama, urodzonego w 1879 roku;
- Majera Ajzyka, urodzonego w 1886 roku;
- Surę, urodzoną w 1888 roku;
- Lejba, urodzonego w 1891 roku;

Izaaka (Icka), urodzonego piątego lub – według innych dokumentów – siedemnastego sierpnia 1896 roku, który ożeni się z Amelią z domu Rozenberg, urodzoną piętnastego stycznia 1904 roku, i będzie moim dziadkiem;

Herszka, urodzonego w 1897 roku;

Rywkę Łaję, urodzoną w listopadzie 1902 roku.

Moi radomscy przodkowie to „ludzie bez historii”, „zwykli ludzie żyjący w niezwykłych czasach”, ludzie, których historia „nie zapamiętała w żaden szczególny sposób”. Wszystkie te określenia przywołuję za powołującym się na Fernanda Braudela, Witolda i Marcina Kulę oraz Bronisława Geremka Łukaszem Krzyżanowskim, za jego książką *Dom, którego nie ma. Powroty ocalałych z Zagłady do miasta średniej wielkości w Polsce (1945-1950)*²³. Jestem dzisiaj prawdopodobnie jedyną osobą na świecie w pełni świadomą ich istnienia, tak gruntownie i w niemal doskonały sposób zaprzeczonego i wymazanego przez Shoah. „Nie zamierzam włączać się w pokrętną, w jakiejś mierze upokarzającą debatę nad swoistością Shoah”, pisze George Steiner w *Gramatykach tworzenia*, po czym dodaje: „wydaje się jednak, że osobliwość wymordowania przez nazistów europejskich Żydów polega nie tyle na skali – stalinizm uśmiercił więcej ludzi – ile na motywacji. Cała kategoria ludzi, po niemowlęta włącznie została obwiniona o istnienie. Ich przestępstwem było istnienie, sama chęć życia”²⁴.

Nie wiem, czy jestem w stanie w jakikolwiek sposób przywrócić im utracone istnienie, skoro nie ma nawet ich grobów na cmentarzu ani nazwisk w *The Book of Radom: The Story of a Jewish Community in Poland Destroyed by the Nazis* pod redakcją Alfreda Lipsona, bo tam znalazło się miejsce tylko dla znaczniejszych żydowskich obywateli miasta, takich jak najważniejsi rabini, kantorzy, pionierzy haskali i inni wykształceni obywatele. Nie znajduję ich nazwisk ani w spisie wierznych płacących datki na synagogę w latach 1884/1886, ani w spisach hipotecznych właścicieli nieruchomości z 1902 roku. Nie widzę jednak innej drogi. Noszę w sobie ich krew, ich geny, ich losy. Korzystając z resztek ocalałego, piszę swoją prywatną Księgę Radomia i przywracam ich do pamięci, jedynej możliwej dla nich dzisiaj formy życia.

Do dyspozycji mam zaledwie kilka fotografii i dokumentów z czasów wojny wygrzebanych z radomskich archiwów i wspomnienie stryja Eliasza Sznajdermana, nagrane na początku lat dziewięćdziesiątych dla Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie. Bo Eliaś ocalał, jako jeden z nielicznych z tej rodziny i jedyny z rodzeństwa. Jego obydwie siostry i obydwaj bracia zginęli: Mordka w obozie koncentracyjnym w Vaihingen w Niemczech, w maju 1945 roku, dokąd trafił prawdopodobnie w sierpniu 1944 roku z Auschwitz, Szmul Chaim podczas likwidacji „małego getta” na glinińskim przedmieściu – został zastrzelony, gdy sam oddał się

w ręce Niemców, by uratować Eliasza i jego świeżo poślubioną żonę Marię. Było to prawdopodobnie na początku sierpnia 1942 roku, może nawet nocą z czwartego na piątego, kiedy ostatecznie wysiedlono małe getto, robiąc na miejscu selekcję. Mam nadzieję, że faktycznie Szmul Chaim zginął od razu, od pierwszego strzału, a nie udusił się w bydłącym wagonie jadącym do Treblinki ani w samej Treblince.

Jedna z sióstr Eliasza, moja stryjeczna ciotka Ruchla, w 1939 roku wyjdzie za mąż i urodzi w 1940 roku dziecko, by wraz z całą rodziną zginąć potem w nieświadomych okolicznościach. O losie urodzonej w 1927 roku drugiej siostry Nechy nie wiem nic.

Eliasz zaś był w radomskim getcie, obozie pracy w Pionkach, w obozach koncentracyjnych w Buchenwaldzie, Auschwitz, Altenburgu, znowu w obozie pracy w Radomiu przy ul. Szwarlikowskiej, znowu w Auschwitz III-Monowitz, i ocalał. Ocaleli także ci ze starszego pokolenia mojej radomskiej rodziny, którzy w porę wyjechali: stryjeczna babka Sura Ita, która prawdopodobnie w 1931 roku wyemigrowała do Argentyny (czy padła ofiarą Migdal Zvi – gangu сутенерów zwabiających żydowskie dziewczyny do Ameryki Południowej i sprzedających je do burdeli? Nie wiem, i chyba się tego nie dowiem), i jej dwaj bracia, Abram i Lejb, którzy znaleźli się w latach trzydziestych w Swierdłowsku, w Związku Radzieckim, i w Londynie.

Ich ojciec, a mój pradziad Izrael Moszek zmarł z przyczyn naturalnych w getcie w 1941 roku, a jego żona, a moja prababka Fajga z domu Flamenbaum dwa lata wcześniej. Szczęśliwie nie doczekali śmierci pozostałych swoich dzieci: krawca Herszka, zamieszkałego podczas wojny na Rathausplatz numer 5, zmarłego w getcie, Izaaka zwanego Ickiem, a potem Ignacym, który będzie moim nigdy niepoznanym dziadkiem i który wraz z młodszym synkiem Albertem, zwanym w domu Alusiem, z Umschlagplatzu wywieziony został do Treblinki, Rywki Łai, panny, zamieszkałej w czasie wojny na Wałowej 31, zabitej w getcie, i ojca Eliasza, przedwojennego biznesmena Majera Ajzyka, o którego śmierci niedługo po zamknięciu radomskiego getta tak opowiada jego ocalały syn:

„Kiedy nadeszła kolej na ojca wzięli jego kartę i powiedzieli: «56 lat? Za stary» i odepchnęli go do kobiet i dzieci. Wtedy ostatni raz widziałem ojca”. Był rok 1942.

Oddam teraz głos Eliaszowi, by sam opowiedział o swoim przedwojennym radomskim życiu i o powrocie do rodzinnego miasta: „Nazywam się Elias Snyder. Urodziłem się w Radomiu, w Polsce jako Eliasz Sznajderman. Mój ojciec nazywał się Majer Ajzyk, moja matka nazywała się Estera Malka. Moi rodzice mieli pięcioro dzieci. (...) Mieliliśmy bardzo dobre życie. Ojciec był biznesmenem. Miał pracowników, szył odzież dziecięcą, głównie dla dzieci w wieku szkolnym. Rozpoczął tę działalność zaraz po zakończeniu Pierwszej

Wojny Światowej w 1918, gdy ja się urodziłem, i przeszedł na emeryturę, co właściwie jest niespotykane w Polsce dla Żyda, aby przejść na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat, w 1937 roku. Odnosił sukcesy w tej działalności, a kiedy zaczął dobrze zarabiać, zabrał się za dodatkową robotę – zaczął budować osiedle mieszkaniowe. Rozpoczął w 1929 roku, a już w 1931 roku przeprowadziliśmy się z mieszkania, w którym dotąd żyliśmy, do domu na tyłach tego osiedla, z przepięknym ogrodem pełnym drzew owocowych. (...) Moje wykształcenie... Szkołę zaczynało się w wieku siedmiu lat, więc do siódmego roku życia chodziłem do hebrajskiej szkoły. Kiedy skończyłem siedem lat, ojciec powiedział mi, że nie mogę zrezygnować z hebrajskiej szkoły, bo nie nauczyłem się jeszcze wystarczająco dużo, by ruszyć w życie z tym, czego się nauczyłem przez te lata, więc zatrzymał mnie jeszcze na rok. Po tym roku miałem już osiem lat i rozpocząłem naukę w powszechnej szkole. Musiałem zdać egzamin na dowód tego, że nadaję się do 2 klasy, który nie był zbyt trudny, zdałem go. Tę szkołę ukończyłem, była to szkoła państwowa. Nigdy nie poszedłem do szkoły średniej. Taki był zakres mojej edukacji. Ale mój ojciec zamówił mi hebrajskiego nauczyciela, który przychodził trzy razy w tygodniu, by uczył mnie przynajmniej do bar micwy. Już przedtem mój ojciec należał do synagogi, dużej pięknej synagogi. Chodził tam – a było to dość daleko – codziennie rano; lubił to. W latach trzydziestych zgromadził jeszcze pięciu mężczyzn, również zamożnych, i zdecydowali, że trzeba zbudować w sąsiedztwie mniejszą synagogę – nie taką, która pomieści pięćset osób. Ta mogła pomieścić około stu pięćdziesięciu – i też była piękna. Naturalnie, on i jego koledzy mieli miejsce przy wschodniej ścianie, były tam ich tality, tak by nie musieli ich nosić, i trwało tak aż do wojny. Kiedy wybuchła wojna, zaczął się szczególnie ciężki czas dla młodych ludzi, którzy byli łapani nocą i zabierani do przymusowej pracy fizycznej. Ale Niemcy nie byli w stanie stwierdzić, kto jest Żydem, a kto Polakiem, ponieważ tylko Żydzi noszący czarne chałaty byli przez nich rozpoznawani. Większość Żydów nie, więc ogromną pomocą służyli im Polacy – chodzili z Niemcami i wskazywali palcem «To jest Żyd» – «Das ist ein Jude». «Jude» było pierwszą rzeczą, jaką nauczyli się mówić po niemiecku”.

Po wyzwoleniu Eliasz wrócił do Radomia. „Zostałem wyzwolony trzynastego kwietnia. Dotarłem do Radomia około trzech tygodni później. Na dworcu kolejowym spotkałem przyjaciela. Powiedział: «Widzę, że wracasz, czy masz się gdzie zatrzymać?». Odpowiedziałem: «Nie, choć mieliśmy tu dom». Odpowiedział: «Mamy duże mieszkanie – jesteś tam mile widziany. Przychodzę tu co rano i gdy tylko wraca jakiś mężczyzna, zabieramy go i szukamy mu kwatery». Potem zaczęły wracać kobiety... to jedna z najsmutniejszych części tej historii. Widziały mnie i pytały: «Na kogo czekasz?». Odpowiadałem: «Czekam na żonę, Marię.

Mam nadzieję, że wróci». Powiedziały mi: «Słuchaj, Elias, byliśmy razem z twoją żoną. Zginęła, kiedy zbombardowano nasz pociąg. Jeśli tylko masz jakieś plany, bo nie zamierzasz tu chyba zostać – pobieraj się i idź, bo ona nie wróci». Nie odszedłem od razu. Zachorowałem, miałem wysoką gorączkę. Byłem u lekarza, niejedną raz, ale lekarz powiedział: «Nie mogę zdiagnozować żadnej choroby. Jedz, odpoczywaj – to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić». Spędziłem w łóżku jakieś trzy-cztery tygodnie, nie wychodząc z domu. Pewnego dnia jeden z moich przyjaciół, który chodził stale na stację, przyprowadził mężczyznę, który właśnie powrócił. I ten mężczyzna spojrzał na mnie i powiedział: «Elias? Co Ty tutaj robisz?». Odpowiedziałem: «Przetrwalem, jestem tutaj, chory». A on mi mówi: «Twoja żona jest na dworcu». «Moja żona jest na dworcu?». Nagle ozdrowiałem. Powiedział: «Podeszła do mnie kobieta na dworcu i zapytała, czy nie wiem, gdzie mieszka jej żona?». Powiedziano jej, jak jeszcze była kilometry stąd, że ocalałem i jestem w domu. Więc, z wysoką gorączką poszedłem na stację. (...)

Ona wróciła piętego czerwca. Poszedłem i spotkałem ją po drodze. Zdjąłem płaszcz, po gorączce nie było ani śladu. Byłem zdrowy. Wróciliśmy razem do mieszkania. Później wrócił jeden z moich kuzynów, z którym byłem w Oświęcimiu. Ocalał i też był w Buchenwaldzie, o czym nie wiedziałem. Wrócił do domu i oczywiście przyprowadził go do tego mieszkania. Przyjechało kilka dziewcząt. Wstawiliśmy kolejne łóżko, daliśmy koc. I on zakochał się w jednej z tych dziewczyn – to bardzo ważne. Zakochał się, a jeśli jesteś zakochany, to się pobieracie. Wtedy tak było, nie tak, jak w dzisiejszych czasach, że mieszkacie razem czy coś. Urządziliśmy im piękne wesele i zrobiliśmy zdjęcia. To było w weekend. Oddałem zdjęcia do wywołania i przed czwartkiem poszedłem je odebrać, żeby dać temu kuzynowi. Żeby się pobrać, potrzebowali mnie i mojej żony, bo zgodnie z ortodoksyjną zasadą świadkami na ślubie mogli być tylko mężczyzna i kobieta będący w pierwszym związku małżeńskim. I byliśmy jedyną taką parą, która ocalała. Mój kuzyn powiedział: «Przynieś mi zdjęcia»... nie: «przyjdę po te zdjęcia». Przyszedłem, dałem mu je, a on powiedział: «Chciałem was zaprosić na parapetówkę – mam mieszkanie dla mnie i dla żony, chciałbym, żebyście przyszli w sobotę wieczorem». Odpowiedziałem: «W sobotę wieczorem? Chyba będziemy musieli to przełożyć, bo zostaliśmy zaproszeni na wesele i nie możemy robić już zamieszania». Powiedział: «Ok, ustalimy inny dzień». I poszliśmy na to wesele. Trwa przyjęcie, było wiele ludzi i około drugiej nad ranem przyszło kilku mężczyzn i powiedzieli «Dobrze się bawicie? Wiecie, co właśnie się stało? Na Żeromskiego 30 (źródła mówią o Żeromskiego 50 – MS) Polacy napadli na mieszkanie i zabili czworo ludzi». Zapytałem: «Kim byli?». Odpowiedział: «Jednym z nich był Gutman i jego świeżo poślubiona żona, następną osobą był ko-

lejny Gutman, nie spokrewniony z nimi (krawiec, którego znałem) i rosyjski pilot, Żyd, który ich odwiedził, chciał się dowiedzieć od ocalałych, co się z nimi działo w czasie wojny. I on również stał się ofiarą przez to, że tam był». Zapytałem: «Co im się stało?». Odpowiedział «Wydaje mi się, że zabrano ich do szpitala». Poszedłem więc prosto do szpitala, chciałem wejść do środka, ale mnie nie wpuszczono, bo szpital otwierany był dopiero o siódmej rano. Siedzieliśmy więc pod drzwiami do siódmej i kiedy weszliśmy do środka, zapytałem o Józefa Gutmana. Odpowiedzieli: «Tak, jest tutaj. Znajdziesz go tam przy dużej łazience». Leżał na noszach na podłodze. Podeszedłem tam, widziałem jego rany na głowie i na klatce piersiowej, ale oddychał. Pobiegłem więc i pytałem: «Czy jest tu lekarz? On żyje! Nie pozwólcie mu umrzeć!». Odpowiedzieli mi: «Przykro nam, nie możemy już mu pomóc. Ma martwicę mózgu». Zmarł w ciągu kilku kolejnych minut. Musieliśmy wyjść, przyjść później i był już martwy. Nie wiedzieliśmy, czy zmarł od poniesionych ran czy z jakiegoś innego powodu. Kiedy wróciliśmy do domu, zastaliśmy notatkę na drzwiach: «To wiadomość dla was. Jeśli nie opuścicie tego miejsca w ciągu najbliższych trzech dni spotka was to samo, co ludzi z tej ulicy». Naturalnie, od tego czasu baliśmy się wracać do domu. Poszliśmy załatwić sprawy związane z pogrzebem, chcieliśmy go pochować. Zabraliśmy go na cmentarz, tylko jego i jego żonę, Rosjanin zdrowiał. A ten drugi Gutman, nie spokrewniony – ktoś się nim zajął. Więc poszliśmy do... jak nazywa się to miejsce, gdzie grzebie się zmarłych?

MG: Na cmentarz?

ES: Tak! Na cmentarz! Wcześniej były tam tysiące ludzi, ale został tylko jeden nagrobek, Żyda, który był jubilerem, zabitego podczas rabunku. Zamordowano go i postawiono mu jedyny pomnik, jaki tam był. Ten pomnik został przewrócony i połamany. [Nazywał się Ludwik Gutsztadt. Został zamordowany, a jego grób sprofanowany – dopisek MS]. Powiedziałem więc, że jak tylko ich pochowamy, to musimy ruszyć. To znaczy zostaliśmy na noc, bo nie mogliśmy ich pochować tego samego dnia. I poszliśmy na dworzec kolejowy, żeby wyruszyć w kolejny etap naszej podróży”.

Mordu, o którym opowiada Elias Sznajderman i w którym zginął mój powinowaty dwudziestoletni Józef (Józiek, Josek) Gutman, a wraz z nim jego kilka dni wcześniej poślubiona żona, dziewiętnastoletnia Bela Apel, niespokrewniony z nimi krawiec Tuchen Gutman i radziecki oficer narodowości żydowskiej, trzydziesto-trzyletni porucznik Aron Getlach, dokonano w nocy z 10 na 11 sierpnia 1945 roku w siedzibie żydowskiej spółdzielni Praca. Człowiek, który jako ostatni widział ofiary żywe, Mojżesz Kirszenblat, opisuje to tak: „będąc (...) w Radomiu, w godzinach wieczornych zaszedłem w gości do Gutmana Tanchena zamieszkałego przy ulicy Żeromskiego 50. Siedzieliśmy we czwórkę gawędząc: ja, Gutman, Birenbaum Luba i starszy leutnant Czerwonej-

armii (lotnik). 5 minut po 10-tej zeszedłem [!]. Nazajutrz o godz. 6 rano rozeszła się wiadomość o zamordowaniu we wyżej wspomnianym lokalu 4 osób: 1) Gutman Tanchena, który został porżnięty nożami w gardło, brzuch i okolice serca. 2) Oberleutenant, który leżał w kurytarzu [!], ręce zawiązane do tyłu i przestrzelony kulą w kark. 3) Małżeństwo, które mieszkało w sąsiednim mieszkaniu: Gutmanowa leżała w kurytarzu z związanymi rękami, porżnięta nożem powyżej łydek i przestrzelona kulą w kark. 4) Mąż jej Gutman został zabrany tegoż wieczoru do szpitala z raną postrzałową, gdzie nazajutrz rano zmarł, nie odzyskawszy przytomności. (...)

Zwłoki 2 zabitych widziałem osobiście po odpięciu mieszkania dnia 14 sierpnia. Zwłoki oberleutanta zostały zabrane 13.8²⁵.

Zabójstwo było więc bardzo brutalne, ofiary przed śmiercią torturowano. Trudno podejrzewać rabunkowy charakter napadu, skoro, jak pisze Krzyżanowski, „według jednego z ocalałych Żydów, który przebywał w Radomiu w czasie, kiedy dokonano zbrodni, z lokalu spółdzielni nie zginęła ani gotówka, ani wartościowe towary. W czasie śledztwa «[w] szafie znaleziono 800 marek, w lokalu tym znajdowało się dużo skór i ubrań należących do kooperatywy. Dochodzenie wykazało, że z rzeczy tych nic nie brakowało». Choć więc w doniesieniach o tej zbrodni często pojawia się termin «napad», nie był to typowy rozbój, ani nawet morderstwo połączone z kradzieżą²⁶. Nawet ci badacze, którzy, jak Sebastian Piątkowski, dopuszczali możliwość napadu rozbójniczego, zauważali wszakże, iż nie można wykluczyć, że była to np. zaplanowana akcja mająca na celu zastraszenie radomskich Żydów i wywołanie wśród nich masowej paniki emigracyjnej²⁷. Napad w spółdzielni Praca był bowiem pierwszym z wielu ataków na żydowskie domy i firmy, jakich dokonano w Radomiu aż do drugiej połowy 1946 roku. Wczesnym latem 1945 roku pojawiły się też ulotki, nakazujące Żydom opuszczenie miasta o treści: „Stwierdzono, że Żydzi regularnie pracują w wywiadzie na rzecz obcego, brutalnie narzuconego nam rządu, przez co działają na szkodę Społeczeństwa Polskiego. Jako wyraziciel głosu Społeczeństwa Polskiego polecam wszystkim Żydom wynieść się poza granice powiatu radomskiego i miasta Radomia do dnia 15.III.1945 r. Ostrzegam, że przekroczenie terminu lub próśby skierowane do obecnych władz o pomoc będą bezwzględnie karane”²⁸. Łukasz Krzyżanowski wpisuje morderstwo w spółdzielni Praca wyraźnie w kontekst pogromowy. Píše: „Nie sposób wykazać, że zabójstwo czworga Żydów w radomskiej Spółdzielni «Praca» było pogromem. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że mord ten wyrósł z podobnej atmosfery, co masowe zajścia antyżydowskie w Rzeszowie, Krakowie i Kielcach. W świetle dostępnych materiałów archiwalnych nie można wskazać innego, niż nienawiść do Żydów motywu morderstwa czterech osób popełnionego w Radomiu”²⁹.

W czerwcu 1945 roku Radom zamieszkiwało 959 osób narodowości żydowskiej, po zajściach sierpniowych i jesiennych, w styczniu 1946 roku, zarejestrowanych było już tylko 290 osób, stanowiąc ledwie 0,4 procent ogółu mieszkańców miasta, by w czerwcu 1946 roku spaść do kilkudziesięciu osób.

Eliasz z Marią nie czekali. Następnego dnia po morderstwie, 12 sierpnia 1945 roku, przez Czechosłowację i Niemcy wyruszyli do Ameryki, by nigdy już nie powrócić do Polski. Gdyby jednak zdarzyło im się powrócić, powiedzieliby zapewne, za Elim Wieselem: „Niegdyś było to moje miasto, teraz już nie jest”³⁰.

Przypisy

- 1 Elie Wiesel, *Ostatni powrót*, [w:] *Pieśń umarłych*, przeł. Małgorzata Tomicka, Wrocław – Warszawa – Kraków 1991, s. 120.
- 2 Ben-Zion Gold, *Cisza przed burzą. Życie polskich Żydów przed Holokaustem*, Kraków – Budapeszt 2011, s. 15.
- 3 Tamże, s. 16.
- 4 Anna Bikont, *My z Jedwabnego*, Wołowiec 2015, s. 46.
- 5 Jehoszua Perle, *Żydzi dnia powszedniego*, przeł. z jidysz Michał Friedman, Wrocław 1998.
- 6 Tamże.
- 7 Tamże.
- 8 E. Wiesel, *Ostatni powrót*, dz. cyt., s. 120.
- 9 Yosef Hayim Yerushalmi, *Zachor. Żydowska pamięć i żydowska historia*, przeł. Mirosław Wójcik, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2014, s. 39.
- 10 Tamże.
- 11 Tamże, s. 131.
- 12 Tamże, s. 137.
- 13 Tamże.
- 14 Tymoteusz Lipiński, *Opis powiatu radomskiego przez ks. Franciszka Siarczyńskiego w rękopisie pozostały*, Warszawa 1847, s. 104.
- 15 Tamże, s. 104.
- 16 Tamże, s. 105 i 107.
- 17 *Nowy Informator oraz Skorowidz czyli spis nieruchomości miasta Radomia na rok 1902*, s. 31.
- 18 Ben-Zion Gold, *Cisza przed burzą*, dz. cyt., s. 30.
- 19 Bernard Gotfryd, *Widuję ich w snach*, Radom 2008, s. 33.
- 20 Tegoż, *Antoni Gołębiarz i inne opowiadania o Holokauście*, Wrocław 2005, s. 158.
- 21 Edward Kossoy, *Na marginesie*, Gdańsk 2006, s. 126.
- 22 Tamże, s. 128.
- 23 Łukasz Krzyżanowski, *Dom, którego nie ma. Powroty ocalałych z Zagłady do miasta średniej wielkości w Polsce (1945-1950)*, Wołowiec 2016.
- 24 George Steiner, *Gramatyki tworzenia*, przeł. Jerzy Łoziński, Poznań 2004, s. 9.
- 25 Ł. Krzyżanowski, *Dom, którego nie ma*, dz. cyt., s. 152.
- 26 Tamże, s. 150.
- 27 Sebastian Piątkowski, *Dni życia, dni śmierci. Ludność żydowska w Radomiu w latach 1918-1950*, Warszawa 2006, s. 274.
- 28 Cyt. za: S. Piątkowski, dz. cyt., s. 274.
- 29 Ł. Krzyżanowski, *Dom, którego nie ma*, s. 154.
- 30 Elie Wiesel, *Ostatni powrót*, dz. cyt., s. 119.